

Pierwsza miłość (ballada frysztacka)

W mojej miejscowości rodzinnej
Miasteczko leży na góreczce.
Dom po rodzicach jest w dolince.
Každy prawie weekend tam jestem.

Często gdy idę wzwyż schodkami,
Tak było dawniej, tak jest teraz,
Świat cały świetli się blaskami,
Choć światło martwo świeci nieraz.

Zwykle jest puste, czasem żywe.
Czasami nie ma tego czegoś.
Często jest większe tam w dolinie.
Niekiedy wcale nie ma jego.

Czasem jest mocne, zwykle mikre,
Lub ja po prostu oczu nie mam.
Albo się chowa gdzieś zanikłe,
Albo to ja nic nie dostrzegam.

Niekiedy światła to jest wina,
Przeważnie moja jednak chyba.
Na próżno jest mi to rozstrzygać.
Ot, widać je lub też nie widać.

W miasteczku wchodzi się w ulice.
Jest parę na krzyż. Kościół z murem,
Cmentarz. A szkoła jeszcze wyżej.
Do szkoły miałem ja pod górę.

Minąłem z nią się na ulicy.
Ona szła główną, ja z zaułka.
Ile to lat już? Łatwo zliczyć.
Tak. Piąta klasa. Podstawówka.

Ujrzałem profil zasępiony
Gdy nadchodziłem szybko z boku,
Bluzkę, dzinsy. Rozpromieniony
Już spowalniałem trochę kroku.

Te dzinsy były modne wtedy,
Te same bluzki bawełniane.
Serce mi biło tak jak kiedy
Pierwszy raz było zakochane.

Można tak wszystko zapamiętać?
Można być takim tak ćwierć wieku?
Czy identyczne drgania serca
Mogą tak długo żyć w człowieku?

Aż przystanąłem tam nieledwie,
Wargi złożyły mi się w uśmiech.
Zerknęła na mnie, tak bezwiednie
I poszła dalej w jasną pustkę.

Ona się nie zmieniła prawie.
O mnie podobnie ludzie bają.
Czemu mnie zatem nie poznała?
Bo okulary, bo mam zarost?

Na korytarzach, w salach szkolnych,
Przypadkiem niby nieświadomie,
Młodzieńczym chwytem, nieudolnym
Brało się piersi dziewcząt w dłonie.

Na korytarzach, w salach szkolnych,
Dziwnym przypadkiem lub celowo,
Brało się, chwytem nieudolnym,
W dłonie dziewczęce to i owo;

I koleżanki podglądało,
W szatni przy sali gimnastycznej,
I na koloniach, gdzie się dało.
Polowało się ustawicznie.

Przy gimnastycznej sali szatnia
Dla dziewczyn miała pod sufitem
Małe okienko na korytarz,
Przez które można było patrzeć.

Na wysokości trzech gdzieś metrów
Było to okno, nad nim wyżej
Rura od gazu, może ciepła,
Jakby stworzona dla myśliwych.

Trzeba się było w górę wysnąć,
Po rękach, barkach innych wyleźć,
Złapać się rury i zawisnąć,
Trzymać się, wisieć żeby widzieć.

Nie była wieczność rurze dana,
Skapnęli się tak do Wigilii,
Były rozmowy i nagana
I zakaz zaraz wysmażyli,

Nauczyciele i dziewczyny.
Każdy z nas przyrzekł w swym honorze,
Więc się znalazło sposób inny,
Co zakaz go nie obejmował.

Dziurka od klucza wystarczyła
Na ledwie dwa, gdzie trzy tygodnie.
Okno od pola nam służyło
O wiele dłużej, niezawodnie.

Jakie się z oknem akrobacje
Uskuteczniało, ja cię proszę.
A przecież tylko się widziało
Skarpetki, majtki, biustonosze.

Wszystkie sposoby się wydały,
Jeszcze przed końcem siódmej klasy.
Na ósmą klasę pozostały
Nózek widoki, tak po majtki.

Po prostu trzeba było stanąć
Na dole schodów. Się widziało
Prócz nóg dziewczęcych, dla odmiany,
Pedagogiczne również ciało.

A było tak od siódmej klasy,
Bo w piątej, szóstej byłem inny,
Bo w piątej, szóstej była ona,
Jedyna. Ona. I nikt inny.

Zawsze ubrana, w ciuchy, myśli,
Przezyste, moje, ciepłe wielce.
I nigdy, nigdy nietykana,
Chyba, że tylko moim sercem.

W siódmej się odmieniło wszystko.
Raz ją dotknąłem. Takie nic to.
Nie wiem dlaczego, nie wiem po co.
Gdzie ją dotknąłem, mniejsza o to.

Pamiętam dobrze jej spojrzenie,
Gdy dotyk oczu we mnie wbiła.
Nic, tylko czyste zawstydzenie,
Nic, tylko martwa światła siła.

Gdy oglądałem teraz tyły
Jej, odchodzącej w jasność zimną,
To nawet chód jej skojarzyłem,
Na krańcach bytu poznał bym ją.

Wszystko to trwało kilka sekund,
Z szybkością światła biło od niej
Wszystko co dobre na tym świecie.
Czas pojmujemy nieudolnie.

Znikła mi z oczu, gdzieś za rogiem.
Ja pomyślałem, że najpewniej
Dzieci ma, męża. W mojej głowie
Błysło: co z tego? Jednocześnie.

I w tamtej chwili nie wiedziałem
Co to “co z tego?” może znaczyć.
Ja bardzo lubię dzieci, ale
Z dziećmi są ojce, a poza tym,

Matki tych dzieci, jest tak zwykle,
Z ojcem być swego chcą dziecięcia.
Ojce, dzieci: analogicznie,
Nawet gdy nie ma z tego szczęścia.

A potem pomyślałem właśnie,
Że przecież w piątej było fajniej,
Lepiej niż później, w siódmej klasie,
Cudownie, dobrze, tak co najmniej.

Potem się smutno mi zrobiło,
Wróciłem po coś do doliny
I na autobus do rodziny,
W obecnym mieście, wyruszyłem.

I znów mi przyszło w górę dążyć.
Przystanek obok jest cmentarza.
Tak rzadko nam się to przydarza:
Blask gorzał wszechogarniający!,

Bo ona żyje tutaj stale,
Bo ja w swym mieście jestem wolny,
Lecz gdy miasteczko opuszczałem
Znów żal mnie przeszył niespokojny.

Później z kolei żem omdlewał
Z tajemniczego zachwycenia,
Bo ona jakiś jest ideał
Nieosiągalny za istnienia.

A potem czucie znów odmienne.
O Boże, szkoda gadać więcej.

Ka